



Bóg, człowiek i cierpienie

Rozmowa z ks. Markiem Dziewieckim
- doktorem psychologii, wykładowcą
w Seminarium Duchownym
w Radomiu, specjalistą w dziedzinie
profilaktyki i terapii uzależnień,
autorem ponad 60 książek
o człowieku i wychowaniu.

Ks. Piotr Przyborek: *Kogo Pan Bóg kocha, temu krzyżyki zsyła; Starość się Bogu nie udała; Bożia go pokarała.* To tylko niektóre z długiej listy bardzo popularnych przysłów czy powiedzonek dotyczących Pana Boga. Czy zawarty w nich przekaz odnosi się do obrazu chrześcijańskiego Boga?

Ks. Marek Dziewiecki: Z pewnością tego typu przysłowia czy popularne przekonania są niezgodne z obrazem Boga. Stwórca pragnie, abyśmy długo żyli na tej Ziemi i żeby nam się dobrze powodziło już tu i teraz, czyli w doczesności. Bóg wyraźnie o tym mówi w czwartym przykazaniu. On jest miłością, a kto kocha, ten nie zsyła krzyży ani niczego, co boli. Tradycyjne przekonanie, że kogo Bóg kocha, temu krzyże zsyła, zawiera podwójny błąd. Po pierwsze zakłada, że Bóg nie wszystkich ludzi kocha. Po drugie stwierdza, że jak już kogoś kocha, to zsyła mu to, co bolesne. Takie przekonanie jest sprzeczne z biblijnym obrazem Boga.

Jezus objawia nam, że Bóg Ojciec to *Abba* – serdeczny Tatuś, a nie srogi, nieczuły, obojętny na nasz los czy karzący rodzic.

Dlaczego zatem tak Boga postrzegamy? Być może boimy się nawet zwerbalizować nasze zarzuty, ale często tak Go widzimy?

Często spotykam ludzi, którzy mówią o swoim żalu do Boga za to, że – w ich przekonaniu – to właśnie On zesłał im różne krzyże, na które nie zasłużyli, na przykład śmierć kogoś bliskiego, nieuleczalną chorobę, tragiczny wypadek czy inne nieszczęścia. Upatrywanie w Bogu źródła cierpienia, krzyży, prób, chorób czy innych trudności to typowy przejaw mechanizmu, który nazywamy projekcją psychiczną. W tym przypadku polega on na tym, że Bogu przypisujemy odpowiedzialność wtedy, gdy sami sobie wyrządzamy krzywdę i zadajemy cierpienie. Łatwiej wtedy wmówić sobie, że to Bóg zesłał nam jakieś uzależnienie czy trudną sytuację niż

uznać, że to efekt naszych błędów, zaniedbań czy grzechów. Podobnie łatwiej jest nam uwierzyć w to, że cierpienie pochodzi od Boga, gdy w rzeczywistości krzywdzi nas ktoś z bliskich, na przykład małżonek, rodzic czy dziecko, a zatem ktoś, od kogo oczekiwaliśmy wyłącznie miłości, a nie ciosu. Bywa i tak, że ktoś błędnie postępuje w młodości czy w dojrzałym wieku, na przykład nie dba o zdrowie czy o radosne więzi z bliskimi, a w późniejszych latach zaczyna to aż tak boleśnie odczuwać, że starość staje się dla niego nieznośnym ciężarem. A przecież są ludzie, dla których starość okazuje się najbardziej pogodną fazą życia doczesnego, bo dobrze się do niej przygotowali poprzez święte postępowanie i budowanie przyjaźni z bliskimi oraz innymi ludźmi. W przypadku każdego bólu, rozczarowania, krzywdy, cierpienia łatwiej jest zaatakować niewinnego Boga niż rzeczywistego winowajcę. Człowiek, który nas krzywdzi, może skrzywdzić nas ponownie. Ktoś taki czyni zwykle wszystko, byśmy nie powiedzie-

li mu prawdy o nim, byśmy się nie bronili i byśmy nie czuli do niego żalu. W sytuacji bolesnej krzywdy, którą zadają nam ludzie czy którą my sami sobie zadajemy, żal jest nieuchronny. Łatwiej ten żal skierować do Boga niż do rzeczywistego winowajcy. Łatwiej choćby dlatego, że intuicyjnie czujemy, iż Bóg się nie zemści, a faktyczny krzywdziciel może dokuczyć nam jeszcze bardziej.

Święty Jan mówi, że Bóg jest miłością. Skąd zatem zło i cierpienie na świecie?

To jedno z najważniejszych pytań ludzkości. Jest ono szczególnie ważne dla ludzi, którzy wiele wycierpieli i nadal cierpią. Wiemy, że Bóg jest miłością i że jest wszechmocny. Wiemy też, że pragnie naszego szczęścia, jak każdy, kto nas kocha. W takim razie skąd się bierze to, co bardzo boli? Skąd się bierze cierpienie – zwłaszcza niezawinione? Odpowiedź, jakiej na to pytanie udziela chrześcijaństwo, jest konkretna i jednoznaczna: głównym źródłem cierpienia w doczesności jest człowiek. Nasze cierpienie bywa, po pierwsze, ceną za miłość do ludzi niedoskonałych: za miłość małżeńską, rodzicielską, kapłańską, za miłość odpowiedzialnego wychowawcy i wiernego przyjaciela, za miłość patrioty i człowieka sprawiedliwego, za miłość człowieka, który wprowadza pokój, który przebacza, który kocha nawet nieprzyjaciół, który staje się dla innych ludzi bezinteresownym darem z samego siebie, który kocha tak, jak Chrystus nas pierwszy pokochał. Nie jest łatwo kochać kogoś, kto sam nie kocha. Nie jest łatwo kochać krzywdziciela, człowieka nieodpowiedzialnego, egoistę, kogoś wręcz podłego czy uzależnionego.

W każdym z tych przypadków miłość wiąże się z trudem, bólem, dręczącymi nas rozterkami.

Warto jednak trwać w miłości mimo wszystko, oczywiście pod warunkiem, że nie mylimy miłości z naiwnością, z pobłażaniem złu, z akceptacją, z tworzeniem krzywdzicielowi komfortu błędzenia i dal-

szego krzywdzenia nas czy innych ludzi. Gdy cierpienie jest ceną za naśladowanie Chrystusa, to wtedy nawet droga krzyżowa, na którą nas prowadzi, nie przestaje być drogą błogosławieństwa. Lepiej jest przecieć cierpieć, dobrze czyniąc, niż cierpieć, źle czyniąc.

Po drugie, cierpienie bywa ceną za nasz grzech. Tak było w przypadku syna marnotrawnego z przypowieści Jezusa. Ów syn sam sobie zsyłał cierpienia jako nieuchronny przecieć i naturalny skutek popełnianych przez siebie błędów i grzechów. Cierpienie, którego doświadczamy na skutek popełnianego przez nas zła, jest nam potrzebne po to, byśmy mogli się zastanowić i zmienić dotychczasowy, błędny sposób postępowania. Gdy bardzo bładzimy, to bywa, że przestajemy być wrażliwi na miłość i cierpienie naszych krewnych czy przyjaciół. Pozostajemy natomiast nadal wrażliwi na nasze własne cierpienie. Ono jest dla nas w takich sytuacjach ostatnią deską ratunku. Niestety nie wszyscy ludzie wyciągają wnioski z cierpienia, które sami sobie zadają. Niektórzy brną w jeszcze większe zło. Wtedy cierpienie zaczyna być dramatycznie bolesne, jak w przypadku alkoholizmu, narkomanii, przestępczości, zdrad małżeńskich, rozwodów czy zabijania własnych nienarodzonych dzieci. Lekarstwem na takie cierpienie jest nawrócenie i powrót do życia zgodnego z Dekalogiem i z przykazaniem miłości, gdyż wtedy ustąpi cierpienie i niepokój sumienia, a powróci radość. Gdyby Bóg dokonywał cudu i odbierał nam cierpienie gdy bładzimy, wtedy bładzilibyśmy jeszcze bardziej, gdyż po grzechu pierwotnym łatwiej jest czynić zło nawet wtedy, gdy tego zła nie chcemy, niż dobro nawet wtedy, gdy tego dobra szczerze pragniemy.

Po trzecie, cierpienie bywa czasami ceną za naszą naiwność. Dzieje się tak wtedy, gdy pozwalamy się krzywdzić przez tych ludzi, którzy nie chcą lub nie potrafią kochać. Gdy cierpimy dlatego, że wiernie – i mądrze! – kochamy, to warto płacić taką cenę, gdyż radość jest wtedy

większa. Gdy cierpimy dlatego, że bładzimy, to cierpienie daje nam szansę na refleksję, mobilizację i nawrócenie. Gdy natomiast cierpimy dlatego, że pozwalamy się krzywdzić, że jesteśmy naiwni czy czujemy się bezradni, to takie cierpienie w niczym nam nie pomaga. Powinno nas ono mobilizować do przewyciężenia własnej naiwności czy własnego poczucia bezradności wobec krzywdziciela. Taka mobilizacja z naszej strony jest potrzebna także po to, by pomóc krzywdzicielowi w refleksji nad własnym zachowaniem i by ułatwić mu nawrócenie. Stanowcza obrona przed krzywdzicielem – bez wycofywania miłości i bez zemsty! – to nie tylko forma mądrej miłości do nas samych, lecz także jedyna możliwa w tej sytuacji forma mądrej miłości wobec krzywdziciela. Im dłużej bowiem krzywdziciel nas dręczy i im cięższe zaciąga przez to winy, tym trudniej będzie mu się nawrócić i uratować zarówno doczesność, jak i szansę na zbawienie.

Po czwarte, bywa i tak, że cierpimy zupełnie bez naszej winy, na przykład na skutek jakiejś nieuleczalnej – i niezawinionej przez nas – choroby albo na skutek jakiegoś kataklizmu przyrody, choćby z powodu powodzi, która zniszczyła cały nasz dobytek. W takim przypadku cierpienie pozostaje tajemnicą, ale i wtedy możemy być całkowicie pewni tego, że to nie Bóg zesłał nam takie doświadczenie i że to nie On winien jest naszego cierpienia. Zwykle za niewinnym cierpieniem jednego człowieka kryje się wina drugiego człowieka. W takich przypadkach najczęściej zdajemy sobie z tego sprawę, a mimo to wolimy atakować niewinnego Boga niż naszego rzeczywistego krzywdziciela, wobec którego zwykle czujemy się bezsilni czy który z diabelską nie-raz przewrotnością nami manipuluje.

Czy cierpienie to kara za grzechy?

Takie właśnie było powszechne przekonanie ludzi w Starym Testamencie. Przekonanie to potwierdza Księga Hioba. Jej bohater to ktoś bardzo szlachetny i Boży. Jego przyjaciele nie wierzą jednak w jego niewinność. Rozumują w ten sposób: skoro tego człowieka spotykają straszne nieszczęścia, to musi on mieć na sumieniu jakieś ukryte grzechy. Bóg przełamuje tego typu błędne myślenie. Hiob straszliwie cierpi, a mimo to jest naprawdę niewinny. Tę samą prawdę potwierdza Jezus w Ewangelii. Przykładem jest spotkanie z człowiekiem niewidomym od urodzenia. Zbawiciel wyjaśnia, że w tym przypadku ani on nie zawiñił, ani jego rodzice. Istnieje zatem cierpienie, które nie jest wynikiem grzechu cierpiącego człowieka. A tam, gdzie ono wiąże się z grzechem, jest naturalną konsekwencją czynionego zła, a nie karą dołożoną z zewnątrz przez Boga.

W trzecim rozdziale Księgi Rodzaju, w opisie pierwszego grzechu, podkreślona została wolność człowieka, który dopuścił się nieposłuszeństwa względem Bożego zakazu. Czy nie lepiej by było, gdyby Bóg pozabawił nas możliwości odwrócenia się od Niego?

W pierwszej chwili tak się może wydawać. Gdy jednak zastanowimy się nad tym spokojnie, to uświadomimy sobie, że rezygnacja z wolności byłaby jednocześnie rezygnacją z człowieczeństwa. Gdyby Bóg nie obdarzył nas prawdziwą wolnością, to nie moglibyśmy oddalić się od Niego, ale z tego samego powodu nie moglibyśmy opowiedzieć się po Jego stronie. Nie moglibyśmy kochać, gdyż miłość to nie instynkt, uczucie czy coś spontanicznego, lecz świadoma i dobrowolna postawa. Nie ma miłości bez wolności. Warto pamiętać o tym, kto w historii ludzkości został najbardziej skrzywdzony przez ludzi, którzy źle korzystali z wolności.

Otóż najbardziej przez nas skrzywdzonym jest Bóg w ludzkiej naturze. Bóg, a nie człowiek! Jezus nie odebrał wolności nawet tym, którzy potraktowali Go jak złoźyńcę i przybili do krzyża. W tej sytuacji nie proszę Boga o to, by mi zabrał wolność, lecz codziennie stanowczo mobilizuję samego siebie do tego, by z pomocą Boga używać mojej wolności wyłącznie w jednym celu: po to, by kochać. Wolność czyni nas ludźmi. Dzięki niej jesteśmy w stanie świadomie i z wdzięcznością przyjmować miłość oraz odpowiadać miłością na miłość.

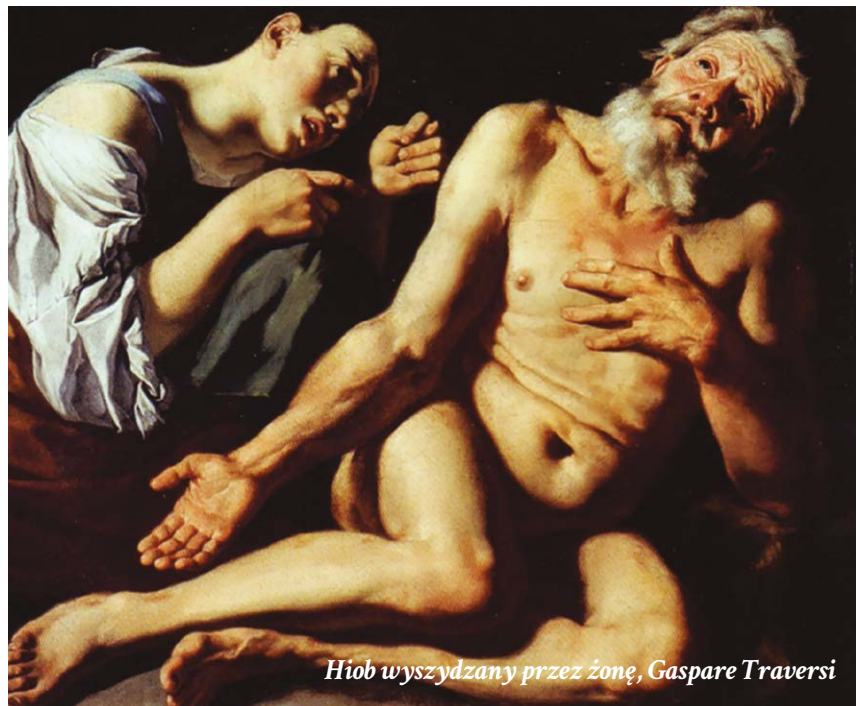
Czy można powiedzieć, że Ewangelia jest odpowiedzią na pytania dotyczące choroby, cierpienia i śmierci?

Tak! W Ewangelii znajdujemy najpełniejsze odpowiedzi na te pytania, jakie jesteśmy w stanie uzyskać z jakże przecież ograniczonej perspektywy doczesności. Jezus zapewnia nas o tym, że On bierze na siebie nasze choroby i cierpienia, że On utożsamia się z każdym człowiekiem, a w szczególności z tym, który cierpi niewinnie. Zbawiciel wie, co znaczy cierpieć. W Ogrójcu na samą myśl o czekającym Go cierpieniu, na które zgodził się do-

browolnie, czuł się przeraźliwie smutny i osamotniony. Nadaremno szukał wsparcia apostołów. Aż krwią się pocił w obliczu perspektywy straszliwej krzywdy i bólu. Dzięki Ewangelii wiemy już, że to nie Bóg zsyła nam to, co bolesne. Cierpienie to jeden ze skutków naszych błędów i grzechów od Adama i Ewy. Bóg jest w każdej sytuacji po naszej stronie. Współczuje nam, szuka nas, podtrzymuje na duchu i ocala. Jezus chciał być ostatnim ukrzyżowanym na tej Ziemi. Chciał, byśmy wrzuceni Jego miłością aż do krzyża, zaczęli kochać jedni drugich aż tak wiernie i ofiarnie, jak On pierwszy nas umiłował. Gdy kochamy, wtedy krzyże znikają, a te, które na razie pozostają, nie przytłaczają nas i nie odbierają nam nadziei. Gdy nie słuchamy Boga i nie kochamy, zaczynamy zsyłać cierpienie samym sobie i innym ludziom.

Czy człowiek wierzący ma łatwiej?

Taki człowiek ma zdecydowanie łatwiej! Wie, że jest kochany i że cierpienie nie pochodzi od Boga, bo ten, kto kocha, nie zsyła niczego, co boli. Wierzący w Boga objawionego w Chrystusie wie, że jest kochany za nic, na zawsze, nie-



Hiob wyszydany przez żonę, Gaspare Traversi

odwołał, wręcz nad życie. Wie, że jest tak cenny w oczach Boga, że jego los jest dla Boga ważniejszy od tego, co spotka Boga na tej Ziemi. Wie, że w swojej miłosiernej miłości Bóg przebaczy nam najstraszniejsze nawet zło, jeśli się radykalnie nawrócimy. Doświadczenie aż takiej miłości ze strony Boga sprawia, że stajemy się duchowymi mocarzami w obliczu chorób, życiowych trudności, starości czy bolesnych konfliktów z ludźmi, którzy krzywdzą zamiast kochać.

Czasem można usłyszeć od osób wierzących, że na tym świecie to tylko cierpienie i choroba, ale gdy zaszłę na Niebo, to tam będę już szczęśliwy. Czy Pan Bóg wzywa nas do cierpiętnictwa? Czy mamy pragnąć cierpienia? Czy szczęście obiecane nam przez Boga ograniczone jest wyłącznie do przyszłego życia?

W żadnym wypadku! Przypomnę raz jeszcze, że w czwartym przykazaniu Bóg wyjaśnia, iż pragnie, byśmy już tu, w doczesności, żyli długo i żeby nam się dobrze powodziło. Jezus to potwierdzi i powie jeszcze mocniej: *To wam powiedziałem, aby moja radość była w was i aby wasza radość była pełna* (J 15,11). Bóg pragnie naszego szczęścia z obydwu stron naszego istnienia!

Przywołałam kolejne popularne powiedzenie: Cierpienie uszlachetnia. Czy aby na pewno?

Z autopsji i obserwacji innych ludzi wiemy, że bywa z tym różnie. Jedni pod wpływem cierpienia nawracają się i wchodzą na drogę świętości. Inni stają się ateistami, buntują się przeciw Bogu, popadają w rozpacz czy wręcz – jak Judasz – popełniają samobójstwo. Bóg nie zsyła nam żadnego cierpienia. Nawet wtedy, gdy mądrze reagujemy na to, co bolesne i gdy na skutek cierpienia stajemy się – jak syn marnotrawny – dojrzałym człowiekiem, to nawet takie cierpienie nie pochodzi od Boga. Od Boga pochodzi natomiast łaska, czyli miłość i mądrość,

dzięki której jesteśmy w stanie mądrze skorzystać z cierpienia.

Proszę podzielić się osobistym doświadczeniem związanym z drogą krzyżową Jezusa. Czy nie przeraża Księdza osamotnienie Zbawiciela? A Jego krzyk: Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił? Czy Jezus musiał tak cierpieć?

Te najbardziej dramatyczne wydarzenia, które Chrystus przyjął przeciw dobrowolnie, chociaż po duchowym, wewnętrznym zmaganiu, nie przerażają mnie, lecz wzruszają. Ukazują mi bowiem tak konkretnie i tak wyraźnie niesłuchaną wręcz cenę, jaką Bóg płaci za to, że mnie kocha. A krzyk Jezusa na krzyżu upewnia mnie w tym, że i ja mam prawo zwracać się z moim bólem do Boga. Mam takie prawo nawet wtedy, gdy to ja sam siebie dręcę, na przykład popadając w straszne uzależnienia. Mogę też – jako chrześcijanin i ksiądz – pozwalać ludziom cierpiącym, by w pierwszym odruchu na wielkie cierpienie wołali do Boga tak, jakby to On im to cierpienie zesłał, albo jakby to On ich opuścił. Do kogo mamy wykrzyknąć nasz ból: do wroga czy do przyjaciela? Oczywiście, że Jezus nie musiał tak cierpieć. Przyjął jednak niesłuchane wręcz cierpienie, gdyż nas rozumie i wie, że najbardziej czujemy się kochani wtedy, gdy ktoś wręcz skrajnie z nami czy z naszego powodu cierpi, a mimo to nadal nas kocha i z nami pozostaje.

Czy uzasadnione jest przeciwstawianie dobrego Jezusa, który wydaje się za nasze grzechy, surowemu Bogu Ojcu, który – jak śpiewamy w popularnej pieśni liturgicznej – rozgniewany siece?

Każdą pieśń i każde nasze przekonanie mamy obowiązek konfrontować z Ewangelią. W dawnych wiekach może miało jakiś wychowawczy sens straszenie karami ludzi wyjątkowo opornych na dobro, chociaż wydaje mi się, że to raczej

nie przynosi trwałych owoców. W XXI wieku wiemy, że najbardziej skuteczna jest motywacja pozytywna. I taką właśnie motywację stosuje Bóg. Na kartach Ewangelii Jezus nigdy nie straszy, że kogoś przestanie kochać czy ukarze. Wzywa natomiast grzeszących do nawrócenia, żeby sami siebie nie zadreżali. Syn Boży i Jego Ojciec w Niebie stanowią jedno. Kochają się wzajemnie tak mocno, że to przekracza nasze wyobrażenia. Używając naszych ludzkich pojęć, możemy wręcz powiedzieć, że na krzyżu Ojciec cierpiał jeszcze bardziej niż Syn. Gdy kogoś nieodwołałnie kochamy i ta osoba jest okrutnie krzywdzona, to cierpimy jeszcze bardziej niż ona. Wolelibyśmy być na jej miejscu. Bóg-Ojciec nie chciał, by ludzie ukrzyżowali Jezusa. Przeciwnie, w czasie chrztu w Jordanie powiedział, że Jezus to Jego umiłowany Syn, którego mamy słuchać, a nie którego mamy krzyżować.

Krzyż Chrystusa jest wyrazem tajemnicy, która jest większa niż sam krzyż. Dla wszystkich pokoleń pozostaje on znakiem niepokojącym, bo ambiwalentnym. Krzyż Chrystusa nie jest przecież tym samym, co krzyż złoczyńców, którzy razem z Nim zostali ukrzyżowani. Święty Paweł miał świadomość tego, że ukrzyżowany Chrystus przez jednych ludzi będzie uznany za głupstwo, a przez innych – za zgorzenie. Krzyżem Chrystusa gorszą się ci, którzy marzą o przemocy miłości, czyli o zwycięstwie dobra nad złem kosztem wolności i godności człowieka. Bóg tak „kochający” rzeczywiście nigdy by nie pozwolił się ukrzyżować, ale też nie byłby Bogiem, który jest miłością. Z kolei krzyż Chrystusa uważają za głupstwo ci, którzy lekceważą miłość Boga do człowieka. Oni szydzą z Ukrzyżowanego, gdyż są wyznawcami znacznie mniejszej „miłości”. Głoszą „miłość” na miarę ich własnego serca oraz ich własnych aspiracji, a zatem „miłość” niewierną i wygodną, która w rzeczywistości jest zamaskowanym egoizmem, który prowadzi do straszliwych rozczarowań i cierpień.



I kolejna pieśń: Zbawienie przyszło przez krzyż. Czy to prawda? Nie było innego sposobu?

Także w tym aspekcie powinniśmy być bardzo precyzyjni. Twierdzenie, że zbawienie przyszło przez krzyż, to skrót myślowy. W rzeczywistości zbawia jedynie Bóg, a On nie jest cierpieniem, lecz miłością. Zbawienie przychodzi zawsze przez miłość. Mogę się ocalić i zmobilizować do nawrócenia na tyle, na ile jestem pewien, że jest ktoś, kto mnie kocha – bezwarunkowo i nieodwołalnie. Samo cierpienie może nas prowadzić do rozpacz, a nie do zbawienia. Krzyż – i to wyłącznie krzyż Jezusa! – jest dla chrześcijan aż tak ważny dlatego, że na krzyżu Jezus pokazał, do jak niezwykłego stopnia kocha ciebie i mnie – do tego stopnia, że pozwala się skrzywdzić śmiertelnie. W relacjach międzyludzkich nie ma większej miłości niż ta, że ktoś oddaje życie za przyjaciół. Tu dzieje się coś nieskończenie większego: to nie człowiek, lecz Bóg oddaje za nas życie i czyni to wtedy, gdy jesteśmy jeszcze grzesznikami.

A może Bóg dopuszcza cierpienie, nawet jeśli go nam nie zsyła?

Też nie! Przeciwnie, robi wszystko, by nikt z nas nie cierpiał. Gdy ktoś z ludzi nas krzywdzi i zadaje nam niezawinione przez nas cierpienie, to nie dlatego, że Bóg takie zachowanie dopuszcza, lecz dlatego, że ten człowiek Boga nie słucha. Synowie Józefa, najmłodszego syna Jakuba, nie konsultowali się z Bogiem. Nie pytali Go, czy dopuszcza to, że zabiją brata lub że sprzedadzą go do niewoli. Podobnie syn marnotrawny w przypowieści Jezusa nie konsultował się z ojcem co do swego odejścia. Moglibyśmy mówić o tym, że Bóg dopuszcza do cierpienia jedynie wtedy, gdyby sprawcy tegoż zła konsultowali się z Bogiem i gdyby uzyskali od Niego choćby milczącą zgodę. W rzeczywistości nikt nie otrzymuje od Boga żadnej formy zgody na czynienie zła, na wyrządzanie komuś krzywdy, na zadawanie komuś cierpienia. Bóg czyni wszystko, aż za dużo – do śmierci na krzyżu włącznie – by już nikt z nas nikogo nie krzywdził, lecz by kochał. Nic innego nie jest wolą

Boga niż to, byśmy się wzajemnie miłowali i by radość zastępowała cierpienie.

Dla większości moich rozmówców twierdzenie, że Bóg dopuszcza cierpienie, oznacza coś innego niż wynikałoby z dosłownego rozumienia ich słów. Za pomocą tego wyrażenia komunikują oni to, że czują się kochani i wspierani przez Boga także wtedy, gdy ktoś z ludzi ich krzywdzi. Wiedzą, że Bóg jest wtedy po ich stronie, że ich nie opuścił, ani o nich nie zapomniał, że pomaga im, by się bronili bez ulegania pokusie zemsty czy bez popadania w rozpacz. Niektórzy święci mówili właśnie w tym znaczeniu o dopuszczaniu cierpienia przez Boga. Gdy chodzi o stygmatyków, to są oni zjawiskiem wyjątkowym, a z wyjątków nie wynikają żadne reguły. Być może oni aż tak bardzo utożsamiali się z męką Jezusa, że fizycznie stawali się do Niego w tym względzie podobni i było to dla nich radością. Ale to duchowa Liga Mistrzów!

Jak mądrze wspierać uzależnionych i jak pomagać ich rodzinom?

To obszerny temat na oddzielną rozmowę. Tu mogę jedynie syntetycznie wskazać na podstawowe zasady postępowania. Otóż mądrze pomagać możemy jedynie tym ludziom, których sytuację rozumiemy. Uzależniony to ktoś, kto ślepo zakochał się w śmiertelnym wrogu – w alkoholu, narkotykach, hazardzie, popędzie. Dla tego czegoś gotów jest poświęcić nawet życie. Po drugie, uzależniony nałogowo oszukuje samego siebie, bo wmawia sobie, że nie jest uzależniony. Po trzecie, ktoś taki sprytnie i okrutnie manipuluje bliskimi, by mu nie przeszkadzali trwać na drodze uzależnienia. Po czwarte, uzależniony w czynnej fazie choroby nie jest wrażliwy na naszą miłość ani na nasze cierpienie, a nawet na miłość i cierpienie Chrystusa. Pozostaje wrażliwy już tylko na jedno: na własne cierpienie. Gdy sam zaczyna bardzo cierpieć, wtedy ma szansę odkochać

się, powiedzieć sobie prawdę i skorzystać z pomocy specjalistów. Zadaniem rodziny jest stosowanie mądrości, a w tym przypadku twardej miłości zgodnie z zasadą: ty trwasz w nałogu, ty ponosisz wszelkie konsekwencje i coraz bardziej cierpisz. Cierpienie błędzącego jest dla niego czy dla niej ostatnią deską ratunku. Gdy nie przestajemy kochać uzależnionego i nie mścimy się, a jednocześnie nie pozwalamy się już więcej krzywdzić, wtedy stwarzamy temu człowiekowi maksymalną szansę na uratowanie. Jezus nie mówił grzesznikom: uwierzcie w to, że was kocham i że wam przebaczam, lecz wyjaśniał: albo się nawrócicie, albo marnie zginiecie. Nie próbujmy kochać „bardziej” niż Bóg. Ojciec z przypowieści Jezusa nie idzie do marnotrawnego syna. Nie zawozi mu jedzenia, ubrań ani pieniędzy. Nie przeszkadza mu cierpieć. Cierpienie ojca syn lekceważył, ale z własnego cierpienia wyciągnął wnioski. Jeśli ktoś przeżywający głęboki kryzys nie przemienia się nawet pod wpływem własnego cierpienia, to w tej fazie życia pozostaje nam na razie modlitwa i dawanie rozsądnych znaków miłości na odległość.

Dlaczego tak wielu ludzi dzisiaj cierpi na depresję, brak poczucia sensu życia, samotność, szybko się zniechęca? Z czym to jest związane? Jak można temu zapobiegać, jak chronić przed tym dzieci i młodzież?

Czasem stany depresyjne związane są z jakimiś skłonnościami genetycznymi. Czasami są wynikiem cierpienia w fazie rozwoju prenatalnego. Jeśli mama nie cieszy się potomkiem, lecz przeciwnie – przeżywa ogromne lęki i rozterki, bo nie kocha lub nie jest kochana przez ojca swojego dziecka, to wtedy ono przeżywa w jej łonie to samo, co ona, tylko o wiele bardziej intensywnie, gdyż jest nieporównywalnie wrażliwsze na cierpienie. Stres i niepokój wyrządzają w organizmie dziecka dużo większe szkody niż w organizmie dorosłego człowieka. To dlatego przed

zawarciem małżeństwa kobieta powinna bacznie obserwować kandydata na męża pod względem tego, czy będzie cieszył się przeszłymi dziećmi i czy będzie w stanie przez dziesiątki lat okazywać im ofiarną miłość.

Inną przyczyną depresji czy bolesnego zniechęcenia jest kumulacja negatywnych wydarzeń i krzywd, jakich doświadcza dana osoba. Czasem jest to jakieś jedno, ale wyjątkowo dramatyczne wydarzenie, na przykład tragiczna czy przedwczesna śmierć kogoś bliskiego, zdrada małżeńska, rozwód czy narkomania dorastającego dziecka. Najczęstszą jednak przyczyną załamania, zniechęcenia czy poczucia osamotnienia jest brak miłości tu i teraz w relacjach z najbliższymi nam osobami. Skutecznie zapobiegać można wyłącznie w jeden sposób: poprzez budowanie coraz silniejszej przyjaźni z Bogiem i poprzez troskę o błogosławione więzi międzyludzkie. Najbardziej chronieni przed depresją są ci, którzy kochają wszystkich ludzi, ale osobiście wiążą się wyłącznie z tymi, którzy też kochają.

A jak uzdrowić „złamane serce”?

Nie skupiać się na przeżyciach. Wyciąganie wniosków. Lepiej samotnie niż w złym towarzystwie. Troska o dobrą teraźniejszość. Najpierw zajmij się twoim życiem tu i teraz. Grupy formacyjne, stały spowiednik, rekolekcje, spowiedź z całego życia, rozwój duchowy. Nikt nie zamknie bolesnej przeszłości dopóty, dopóki z pomocą Boga i Bożych ludzi nie zacnie mieć dobrej i radosnej teraźniejszości

W suplikacjach śpiewamy: *Od naglej i niespodziewanej śmierci zachowaj nas Panie! Czego dotyczy ta modlitwa? Czy nie lepiej umrzeć „nagle i niespodziewanie”?*

Najlepiej jest być zawsze przygotowanym na przejście. Święci nie mają takiego problemu. Św. Paweł: *dla mnie umrzeć to zysk*. Natomiast nagła i niespodziewana śmierć jest

bólem dla naszych bliskich, zwłaszcza jeśli bardzo ich kochamy. Lękamy się naglej śmierci także w odniesieniu do tych, którzy tu i teraz błędzą. Ta modlitwa nie ukazuje śmierci jako zła, lecz wskazuje na to, że trzeba być gotowym i że uzasadniony jest nasz lęk w odniesieniu do osób, które nie są gotowe.

Co to znaczy „dobra śmierć”, której patronuje święty Józef? Czy jest w ogóle możliwe przygotowanie się do śmierci? Jak chrześcijanin powinien to uczynić?

Świętość. Czuwanie, nieustanne nawracanie się, by coraz bardziej kochać. Będziemy sądzeni z miłości. Im bardziej naśladuję miłość Jezusa, tym lepiej jestem przygotowany na pogodne przejście

Co możemy zaoferować tym, którzy przeżywają żalobę? Jak ich wspierać?

Rozumieć, wczuwać się w ich ból, mieć cierpliwość, nie dawać „łatwych” rad, typu: *będzie dobrze*. Powinniśmy przeżywać żalobę właśnie dlatego, że jesteśmy pewni, iż nasi zmarli nie zostali unicestwieni, lecz nadal żyją, kochają, modlą się za nas i na nas czekają. Jezus zapłakał nad grobem Łazarza...

I na koniec pytanie osobiste. Czy mimo zła obecnego w świecie, ludzkiej niegodziwości, cierpienia i śmierci, która nikogo nie ominie, można być szczęśliwym? Czy można cieszyć się życiem?

Mamy do tego święte prawo. Jezus i pod tym względem jest realistą. Nie mówi: *cierpcie i smućcie się*, gdy chociaż jeden człowiek wokół was jest nieszczęśliwy. Przeciwnie, gdy On jest z nami, to mamy prawo do szczęścia. Głodnych, poranionych, krzywdzonych, bezradnych, nieszczęśliwych zawsze będziemy mieli wokół siebie. Lecz i wtedy mamy prawo do radości, bo nieuchronnie doświadczą jej ci, którzy trwają przy Bogu i ofiarnie kochają. Poza tym ci, którzy są

smutni, potrzebują naszej radości, by byli pewni, że ona tu na Ziemi jest już możliwa i że warto zmieniać postępowanie na takie, które prowadzi do coraz większej radości.

Chrześcijaństwo jest religią twardego realizmu. Nie ukrywa przed nami tego, że w realiach doczesności nikt z nas nie uniknie cierpienia. Jednocześnie przypomina nam o tym, że cierpienie nie jest celem ani sensem naszego życia. Prawdę tę ilustruje sytuacja sportowca, który podejmuje wielki wysiłek fizyczny i narzuca sobie żelazną dyscyplinę. Nie czyni jednak tego dlatego, że chce cierpieć, lecz wyłącznie dlatego, że ma nadzieję na zwycięstwo w zawodach. Pokonując ból i zmęczenie, już w czasie wyczerpującego treningu cieszy się perspektywą przyszłego zwycięstwa nad samym sobą i nad własnymi ograniczeniami. U zawodnika, który pierwszy wbiega na metę, grymas bólu i wyczerpania przemienia się w uśmiech zwycięstwa. Chrześcijanin to ktoś pewny tego, że miłość Boga silniejsza jest nie tylko od śmierci, ale także od grzechu i cierpienia. I że szczęśliwi możemy być jedynie w twardej rzeczywistości. W świecie miłych fikcji i wygodnego życia jedyne, co jest prawdziwe, to rozczarowanie i cierpienie. Radość to stan ducha, a nie psychiki czy ciała. Doświadczają jej wyłącznie ci, którzy trwają w miłości.

Dziękuję za rozmowę.

